Ner 6. Kraków, dnia 16go Marca 1875. Rok VII.

WŁOŚCIANIN.

Pismo dla ludu.

Włościanin wychodzi 1go i 16go każdego miesiąca. — Włościanin kosztuje rocznie Złr. 3 w. a., półrocznie Złr. 1 cen. 50, kwartalnie cen. 75. — Ktoby sobie życzył przesłać z przedpłatą na „Włościanina“ zarazem i przedpłatę na „Zagrodę“ — płaci za oba pisma: rocznie Złr. 4 cent. 60, półrocznie Złr. 2 cent. 30, kwartalnie Złr. 1 centów 15. — W Prusach i w Poznańskiem kosztują 3 talary.

(Zagroda wychodzi 8go i 24go każdego miesiąca.)

Kalendarz.

17. Ś. Gertrudy panny.	21. N. 6 Lwietn. Benedykt
18 C. Edwarda męcz.	22 P. Oktawiana męcz.
19. P. 7 bol. NMP. Józefa	23. W. Katarzyny król.
20. S. Eufemii i Teodozyi.	24. Ś. Gabryela archan.

Adres: Do redakcyi „Włościanina“ Plac Dominikański, Ner 486, III. piętro.

O naszych wężach i żmijach.

Zaledwie pierwsze promienie słońca ziemię ogrzewać poczną, zaledwie powracająca wiosna tysiące kiełków i zarodków do nowego i wesołego życia wzbudzi, a już wychodzi z wilgotnej nory rodzaj stworzeń, człowiekowi znienawidzony i rozszerza wokoło trwogę i jad i mąci ogólną radość. Spokojny wędrowiec, ucieka przestraszony, gdy widzi na drodze swej tego strasznego nieprzyjaciela, albo gdy usłyszy obok siebie szelest w zwiędłych liściach.— Dla tego sądzę, że nie zawadzi o zwierzęciu tem coś tu powiedziec, (zwłaszcza, że wiosna się zbliża), aby zanadto bojaźliwego od jego bojaźni i wstrętu uwolnić, a niedoświadczonego i lekkomyślnego znowu przed niebezpieczeństwem przestrzedz.

Między wszystkiemi zwierzętami na ziemi, żadnego pewnie człowiek więcej nie unika, jak węża i żmii; ślizkie ciało, które w mgnieniu oka najrozmaiciej się zwija i skręca, zimna krew, dalej ciche czołganie się, — bojaźń przed ukąszeniem — nareszcie sposób życia i kryjówki, wyjaśnią tę odrazę. Dla tego też ludzie je prześladują i przyrównujemy do nich człowieka fałszywego i niewdzięcznego.

Jednakże, jak już na tem miejscu wam niedawno, moi mili czytelnicy pisałem, że każda namiętność nas zaślepia i tak samo i tu możemy łatwo winnych i niewinnych pokrzywdzić, a nietylko nasze własne dobro, ale i sprawiedliwość, którą zwierzętom człowiek, jako pan ziemi winien, o czem w Nrze 4 „Włościanina“ czytaliście, wymaga, abyśmy się najpierw ze sposobem życia wężów i żmij, zaznajomili.

Zewnętrzna postać żmii, jest każdemu prawie znaną. Długie, walcowate ciało jest na głowie tarczami, na grzbiecie łuskami, a po bokach rogowemi półobrączkami opatrzone; z tego powodu może się wyginać bardzo łatwo.—Co się tyczy zmysłów żmii, są one bardzo mało rozwinięte, ale za to przyroda opatrzyła je członkiem, który zastępuje niedostateczność innych zmysłow, jest nim mianowicie długi, rozcięty język. Języka tego wcale lękać się nie trzeba, gdyż nie jest to owe żądło, którem, jak to ludzie mówią, żmija kłuje·—On służy tym zwierzętom zresztą tylko za narzędzie czucia, — gdyż widzimy go w ciągłej czynności, czy to żmija spokojnie pomiędzy trawą się posuwa, czy po krzakach i głazach się wije. – Nim dotyka każdego przedmiotu, który jej w drodze leży, nim też szuka drogi do swej kryjówki, nim liże także i swą ofiarę; a ponieważ w gniewie, albo zaraz po ukąszeniu językiem tym szybciej i częściej porusza, przeto poszło ztąd mniemanie, że żmija nim kłuje, tak jak żądłem. Tymczasem ona nie kłuje, lecz kąsa i właśnie jej zęby zasługują na naszą uwagę: w ruchomej szczęce górnej żmii, znajdują się zawsze 2—3 zęby bardzo cienkie i wzdłóż wydrążone, osadzone na pęcherzykach, z których przy najlżejszem naciśnięciu jak przez ową cienką rurkę w zębie, aż do rany wchodzi. Jad ten jest żółtawą cieczą, która połknięta, nic nie szkodzi, ale zmieszana z krwią, najstraszliwsze skutki, a nakoniec śmieré sprowadza.

Skutki ukąszenia są większe lub mniejsze, i zależą: albo od wielkości żmii i ilości wpuszczonego jadu, albo od stopnia ciepła — im goręcej tem niebezpieczniejsze skutki — albo nareszcie od ukąszonego miejsca i od wieku i budowy człowieka zranionego.

Jako środki przeciw ukąszenin zalecają w pierwszej chwili, nim pomoc lekarska udzielo-

ną być może; prędkie związanie powyżej zranionego miejsca. rozszerzenie rany cięciem noża i wymycie jej wódką, użycie środków wewnętrznych, pobudzających poty: picie letniego mleka, herbaty bzowej, itp.

Co się tyczy wyssania rany, które także żalecane bywa, można go użyć, jednakże tylko w takim razie, gdy język, podniebienie i dziąsła zdrowe są, ponieważ jednak często na tych częściach nieznaczne są skaleczenia, o których może i nie wiemy, a ztąd nieraz smutne następstwa się okazały, przeto tego sposobu najlepiej tylko w ostatecznym razie używać.

Z pomiędza wężów żyjących u nas, jadowitą jest żmija zygzak. W ogóle mają jadowite węże, trójgraniastą, grubą głowę, cienką szyję, zatępiony ogon i żyją tylko na skalistych górach, gruzach i kupach kamieni, na wybrzeżach lasów ogrzanych słońcem. Gnuśne to zwierzę leży zwinięte godzinami i dniami całemi spokojnie i nieruchomie, tylko żywe oko i poruszanie językiem zdradza, że to żyjąca istota. Nareszcie zbliża się nieostrożna myszka, młoda ptaszyna, albo żaba i skacze, bawiąc się, albo szuka za pożywieniem, nie troszcząc się wcale o swego strasznego wroga w swej bliskości. Wtem rozszerzają się powoli obrączki, głowa i szyja zsuwają się, język ze sykiem zaś wysuwa się, a paszcza nieraz i chwil kilka w strasznej złości rozwartą zostaje. Jak srzała rzuca się gad na swą zdobycz i z wściekłością ją kąsa.. Pewny skutków swego okropnego jadu, nie troszczy się więcej o swą ofiarę, która najczęściej po kilku już krokach, bezwładnie upada; wtedy dopiero zbliża się do niej gnuśnie i powoli połyka.

Ponieważ węże jadowite tak ludziom, jako i zwierzętom są bardzo niebezpieczne, należy je przeto tępić. W tej czynności wyręcza człowieka najlepiej jeż i bocian, pożerając ogromną ilość gadów, dla tego nie należy tych zwierząt zabijać. Z bólem jednakże trzeba wyznać, że ludzie aż zanadto często z nieświadomości lub swawoli, dręczą a nawet zabijają zwierzęta, którym właśnie ochronę i wdzięczność winni.

Michał Messler, nauczyciel z Turki.

W poście.

Już dzwon kościoła
Wiernych swych woła,
Aby w świątyniach w obliczu Pana,
Ze skruchą serc swych zgięli kolana.
Głos niszczą dzwony
W dalekie strony
Do wspólnych modłów wzywają;
Niosą głos dzwony!
Wiernych miljony,
Głosu tych dzwonów słuchają.
Wielka rodzina,
Co Boga Syna,
Panem i Zbawcą nazywa,
Ojcem ma Boga,
Jakaż myśl błoga
Serce miłością ogrzewa!
Syn Stwórcy świata,
Z ludźmi się brata,
I ciało ludzkie przyjmuje.
Żyje na ziemi
Między grzesznemi,
Ojca nam w niebie wskazuje.
A tak w potrzebie,
Ojciec nasz w Niebie
Próźb tylko takich wysłucha,
Gdy czystą wiarą
I serc ofiarą,
Błagają w pokorze ducha.
Naucza wiele,
O swym Kościele,
Że go zbuduje na skale,
Że choćby całe
Piekło powstało,
Nie zwalczy świątyń zuchwale.
Runą z gruzami
Piekielne bramy,
A Kościół będzie trwać wiecznie,
Kościół, to owa,
Łódka Piotrowa
Płynie po falach bezpiecznie.
A Bóg mu wszędzie,
W pomoc przybędzie —
Kościół więc tryumf odniesie?
I wiarę świętą
Od Boga wziętą,
Na krańce świata rozniesie.
Wszak na Golgocie,
W strasznej sromocie,
Spełnia się wielka ofiara!
Grzech nią zgładzony,
Świat okupiony
I bozka wstrzymana kara.
Wołają dzwony....
Świat w złem uśpiony,
Niechaj z letargu się zbudzi;
Gdy Archanioła
Trąba zawoła
Na straszny sąd wszystkich ludzi.
Umilkną dzwony —
Każdy strwożony,
Z grobu swych grzechów powstanie,
Aby w tej sprawie,
Sędzia łaskawie,
Okazał nam zmiłowanie!

Jasińska.

Sądowa licytacyja.

Obrazek z życia ludu wiejskiego,

opowiedziany przez

MAKSYMILIANA ZDULSKIEGO.

Przyznacie zapewne, że dla nas rolników nie ma pory milszej na wsi, jak niedziela nad wieczorem, a zwłaszcza w pogodną, wczesną jesień. Słońce chowające się za las i wzgórze, ozłaca jeszcze drzewa, tak rozmaicie w tej porze ubarwione, jakaś świąteczna cisza panuje do koła; rozrzucona ponad doliną, po wzgórkach wioska oddycha owym błogim spokojem, który się udziela duszy i słodkiem ją napawa uczuciem.

Wtenczasto wieśniacy świątecznie przybrani w piękny nasz strój narodowy, wypoczywają po trudach całego tygodnia, jużto po chatach, już przy opłotkach gromadzą się w kółka, gwarzą, żartują, pośmiechują, dopóki dzwonek z wiejskiej wieżyczki nieprzerwie miłej zawsze pogadanki, wzywając na „Anioł pański".

Takiegoto wieczora w Polance, jednej z wiosek nad Wisłą, podobny spostrzegamy obrazek, z tą jednak różnicą, że ruch jakiś większy, twarze więcej jak zwykle ożywione, rozmowy głośniejsze i że liczniejsze gromadki w jedne zmierzają stronę.

Na wydatniejszym nad inne wzgórku, po nad rzeczką wioskę przecinającą, stanęła chata, która na pierwsze już wejrzenie różni się od innych chatek tej wioski; drzewo w niej żółte i świecące jak wosk, sosnowe, starannie oprawione, okna światłe, dach suto poszyty, dołem obrębiony gontem w zgrabne ząbki wycinanym, nad nim komin czerwony, a na kominie wyrazisty napis: R. P. 1871.— Nie tylko jednak ta, rzec można, wspaniała, jak na wieśniaka budowa sama, ale całe jej otoczenie przemawia za tem, że człowiek, który chatę zbudował, jest pracowity, zapobiegliwy i zamożny; w około bowiem a obszernie stanął płot z dranic sosnowych, gęsty a mocny, za opłotkiem stanęły lub legły liczne ule śród drzew, których owoc ponętnie zwiesza się ponad polną drożynę; w podwórku czysto uprzątnionem, stanęła obszerna stodoła, stajnia, śpichlerzyk, które to budynki, jakkolwiek nienowe, wszelako starannie wynaprawiane, a co lepiej pełne, bo zebrane z pomocą boską zboże, musiało szukać schronienia aż w trzech brogach tuż obok ustawionych; — jednem słowem dobrobyt i błogosławieństwo boże, widne tu były zdaleka.

Szczęśliwym właścicielem tej pięknej zagrody, był Stanisław Wiecha, a familja ta z ojców i dawnego pokolenia, słynęła z rządności, rozumu i pracowitości.

Gromadki ludu, coraz to liczniejsze, o których wspomniałem, do tej właśnie zdążały chaty, a powód był ten, że Stanisław postawiwszy w miejsce starego domostwa, nowy budynek, zamierzył go w dniu tym uroczyście poświęcić.

Wejdźmyż z nimi do chaty.

O jakże miło jest dla duszy polskiej wejść w ten przybytek wiejskiego, rodzinnego życia i cichego błogosławieństwa niebios, jeżeli tam zamieszkała uczciwa praca, zacny polski obyczaj, szczera gościnność nasza! — jakżeż jeszcze nie często zdarza się nam spotykać z takiem siedliskiem cnót rodzinnych, z których jedynie może kiedyś wypłynąć zbawienie i dawna chwała, naszej nieszszęsnej ziemi polskiej.

Takąbo w istocie była ta chata, że uczucie błogie już w progu nas witało.

Czysto, jasno i pięknie, choć po prostu i bez wymysłów urządzone, było jej wnętrze, — w dwóch obszernych izbach schludnie wybielonych, zajęły długie miejsce ławy i stoły, w szafach misy i dzbany, łoże czysto a obficie usłane, duże obrazy Świętych na ścianach; wszystkiemu temu zegar ścienny nadawał tej poważnej cechy, że tu ludzie czas oceniają i do niego się stosują.

Na stołach białem płótnem okrytych, ustawione były obfite przysmaki wiejskie, kołacze, sery i mięsiwo, a okazałe dzbany z miodem i piwem, zwiastowały, że uroczysta chwila ma być obchodzoną z wylaną szczerością państwa gospodarstwa.

Rzućmy okiem na osoby, które zapełniały obie izby.

Sianisław Wiecha byłto człowiek, o siwiejącym już włosie, wszelako, czerstwy, wysoki, barczysty a przystojnego oblicza i poważnej postawy. Ubiór na nim suty i czysty, nie różnił się krojem od ubrania innych włościan, jedynie spinka złota upięta w kołnierzu białej koszuli, oznaczała większą jego zamożność.

Gospodyni również schludnie przybrana, jakkolwiek niepierwszej już młodości, wszakże twarz jej świeża jeszcze, okno piękne, czyniło postać jej miłą.

Cóż dopiero powiedzieć o Maryni, córce ich, która wyświeżona, przystrojona, była rzeczywiście powabną i piękną dziewicą; — piękność jej znaną też była szeroko w okolicy;

dosyć było wspomnieć Marynię z nad potoka, aby usłyszyć pochwałę jej wdzięków.

Otóż i osoby składające rodzinę;

Gości opisywać wam nie będę, bo zgromadzenia takie są wam znane; byli to mężczyzni i kobiety, dziewczęta i młodzieńce, a jak to u nas bywa, nie różnili się bardzo ani strojem, ani niczem innem; wszystkie twarze do tego ożywione były wesołością, co tem więcej różnicę zacierało.

Śród przystrojonych włościan, stał na uboczu przy kominie niedaleko drzwi, człowieczek nieduży, niepokaźny; chudy, dobrze już siwy, okryty ubogą płótnianką, przepasany wąskim rzemykiem, a zamiast czworograniastej czapki czerwonej, która tu była zwykłym strojem włościan, trzymał w ręku kaszkiecinę krojem miejskim, dobrze już wytartą. Człowieczek ten miał jedną nogę widocznie krótszą. — Na wychudłej twarzy jego, niebyło tam wprawdzie widać smutku, lecz i wesołego wyrazu nie łatwo się było dopatrzyć. Długoletnia ciężka praca, ubogie życie, wyryły widać na obliczu temu wyraz taki, że już i przy radosnej sposobności mało się zmieniał, a był to wyraz spokoju, pokory i dobroci.

Dziwnie jednak wydać się musiało, że Marynia. powitawszy licznych gości, jakby od niechcenia stanęła także tuż przy kominie, nie słuchając pochlebnych i dowcipnych słówek młodziaków, od dłuższego już czasu z tym starym i niepozornym człowieczkiem, po cichu coś szeptała. —

Winienem wam powiedzieć, kim on właściwie był.

W Polance był Grzegórz Kopytko, bo tak się nazywał, właściwie wszystkiem, to jest głównie szewcem i tkaczem, ale przytem i stół i szafę i kołyskę zrobić umiał — i beczkę pobił i komin zmurował, a co najdziwniejsza, brał się nawet i do zegarów; toź przecie i u samego Stanisława na tę właśnie uroczystość, duży zegar ścienny o drewnianych kółkach, tak pięknie odczyścił, olejem ponapuszczał i wyregulował, że szedł równo ze słońcem jak tylko życzyć sobie można. Lecz poznamy niebawem bliżej starego Grzegorza.

Całe zresztą Towarzystwo zajęte było pogadanką, gdy wtem nagłe nastąpiło milczenie, a spowodowało go trzaśnięcie z bata przed drzwiami chaty.

— Jedzie już, jedzie! odezwał się jeden z młodych chłopaków.

Całe grono nastroiło poważne miny, a po chwili wszedł w próg młody ksiądz i kościelny.

Powitany przyzwoicie przez gospodarza, powitał również uprzejmie wszystkich po kolei, a po krótkiej rozmowie, przybrawszy komżę; rozpoczął ceremonię poświęcenia.

Przy sposobności tej przemówił do zgromadzonych od serca, — a zakończył mowę temi słowy:

— Oto poświęciłem wam tę chatę, którą zbudowaliście miły bracie mój uczciwą pracą, a za pomocą boską. Niechaj Bóg z wami zawsze w niej mieszka i błogosławi tę rękę, którą uprawiacie mozolnie ukochaną ziemię naszą, niechaj z chaty tej wychodzi przykład i wzór, jak wychodził z chaty ojca i dziada waszego; idźcież zawsze tą drogą pracy i uczciwości, a Bóg pomnoży dostatek wasz i dziecko wasze pociechą się wam stanie. Jednakże przyjmijcie i to życzliwe słowo upomnienia: Wśród szczęścia i dostatku nie bądźcie pyszni, niechaj pycha nie obsiędzie serca waszego, strzeżcie się jej, albowiem zapisano jest u Lukasza św. w Rozdz. XVIII:

> Ktokołwiek bodwyższa się, poniżon będzie; a kto się poniża, podwyższonym będzie“;

a według proroka Abdiasza:

> „Choćbyś się wywyższył jako orzeł — i choćbyś między gwiazdami położył gniazdo twoje, ztamtąd ściągnę cię“ — mówi Pan.

Tu ksiądz zwrócił się wyraźniej jeszcze do Stanisława, — a spojrzawszy mu w oczy, powtórzył:

— Stanisławie, pychy się strzeżcie!

Dla czego ksiądz te właśnie słowa powtórzył z naciskiem, dowiemy się później a nawet niezwłocznie. Nie były one bowiem powiedziane bez przyczyny.

Ksiądz ukończywszy tę tak piękną ceremonię, napił się odrobinę wina umyślnie dla niego przez gospodarza przygotowanego na pomyślność gospodarstwa, poczem zwrócił się do gości, z którymi jakąś chwilkę miłą zabawiwszy się rozmową, odjechał.

Stanisław uszczęśliwiony jak nigdy, zaprosił gości do wieczerzy suto zastawionej, a po krótkiem wahaniu się, zwrócił się osobno do Grzegorza i rzekł:

— Możebyście Grzegorzu i wy co przekąsili?

Nie było widocznie potrzeby zapraszać Grzegorza osobno, skoro nikogo z przytomnych osobno nie zapraszał — oczywiście chciał staremu dać do zrozumienia, że on, ubogi szewc, nieko-

niecznie tam w towarzystwie i przy wieczerzy śród zamożniejszych gospodarzy potrzebny.

Jakżeż wnet zapomniał pięknych słów Pisma świętego?

Zrozumiał to biedny Grzegórz, zawstydził się chwilkę przed ludźmi, ale odrzekł spokojnie:

— Dziękuję wam pięknie Stanisławie, nie przyszedłem tu w myśli używania waszego bogatego jadła i napoju — chciałem pocieszyć się widokiem waszego szczęścia, a teraz muszę nawet wracać do chaty, bo mój Antoś pisał list z Ołomuńca, że w tych dniach przyjdzie z urlopem, liczę, że może dziś nadejdzie, toż trzeba w domu go powitać.

— A, jeżeli tak, to nie zatrzymuję — odrzekł Stanisław krótko i niegrzecznie, pochmórzył się nawet trochę, bo już od jakiegoś czasu niepodobało mu się, że Marysia tak długo z Grzegorzem rozmawiała, nie podobało mu się tem bardziej, gdy dostrzegł, że Wincenty Jamróz, którego wkrótce poznamy: również od dłuższego czasu ze wszystkich stron, acz bardzo niezgrabnie, zachodził ku kominowi, chcąc się zbliżyć do Maryni, co jednak mu się wcale nie udawało, Marynia nie zdawała się uważać tych zabiegów, a im widoczniej pragnął zwrócić na siebie uwagę, tem gorliwiej zatapiała się w rozmowę ze starym Grzegorzem.

Grzegórz pozdrowiwszy, wyszedł — reszta gości otoczyli stoły, dzbany wypróżniały się coraz więcej, a rozmowa i zabawa stawała się coraz weselszą, żywszą, głośniejszą.

Ktoby był jednak dobrze uważał, mógł dostrzedz, że kiedy Grzegórz wyrzekł słowa: „Antoś dziś może przyjdzie“, Marynia okryła się zrazu szkarłatnym rumieńcem, a potem nagle pobladła; lecz na to zważać ani rodzice jej ani goście czasu, ani sposobności nie mieli — co więcej, nie zważali oni nawet zrazu i na to, że w niedługą chwilę po wyjściu Grzegorza, znikła i Marynia z izby — i dość długo jej nie było.

Dopiero Wincenty Jamróz podpiwszy sporo lampek miodu i piwa, spostrzegł się i zapytał:

— A gdzie to wasza Marynia, Stanisławie?

— A prawda — zawtórowała sąsiadka — gdzież ona się też podziała?

— Maryniu! Maryniu! — odezwała się matka, uchylając drzwi od sieni — lecz też w tej chwili weszła i Marysia sama.

Ktoby był uważał, byłby znów spostrzegł, że oczy Maryni dziwnym błyszczały ogniem, że pierś oddychała bardzo nierówno i że trzewiczki trochę były zbłocone, chociażto i w podwórku i w izbie było suchuteńko. Na szczęście i tego nikt nie widział — a Marysia potrafiła swą nieobecność, jakoś zgrabnie wytłumaczyć.

Tylko Wincenty Jamroz, czy to chciał towarzystwo zabawić, czy Maryni powiedzieć pochlebstwo, zaśpiewał w te słowa:

Uciekł ptaszek z klatki, suchego ogona,
Myśleli, że czyżyk, a to była wrona.

Pomimo zmieszania, Marynia namyśliwszy się chwilkę, odcięła:

Myśleli, że puchacz, bo bardzo nadęty,
Ni puchacz, ni orzeł, tylko pan Wicenty.

Głośny huczny śmiech zgromadzonych, zawtórował przytomnej dziewczynie, a Wicenty stanął z otwartą gębą — którą nie wiedząc co z sobą zrobić, zalał kuflem miodu.

Warto teraz poznać Wincentego, czyli jak go powszechnie nazywano, groźnego Wicka.

Byłto chłop krępy, szeroki, oko wytrzeszczone, włos rudawy, nos przypłaszczony, twarz pyzata, ręka żylasta, mowa bardzo głośna, a wąs przystrzyżony i najeżony, nadawał całej tej postaci rzeczywiście cechę człowieka nagłego, popędliwego, z którym, jak to powszechnie wiedziano, niedobrze było jeść kaszę. Był on wdowcem; jedyne dziecko, które mu umierająca żona zostawiła, poszło wkrótce za matką; wziął spuściznę po rodzicach, wziął po żonie — był więc majętny, a Stanisław upatrzył w nim przyszłego swego zięcia, choć Marynia, jak to już widzieliśmy wyraźnie, od niego stroniła — upatrzył dla tego, że jedynie w majątku widział szczęście i znaczenie wobec świata i ludzi.

Grzegórz opuściwszy dom Stanisława, zwiesił głowę, posmutniał; bolało go w duszy, że mu okazano pogardę; czuł, iż nie zasłużył na nią, bo był zawsze uczciwym, pracowitym, uczynnym, a cała wina polegała w tem, że mieszkał w maleńkiej, ubożuchnej lepiance, że nie posiadał gospodarstwa rolnego i że przyodziewał się ubogo.

Po chwili dziwnie jednak się uśmiechnął, machnął ręką i kroczył milcząco ku swej chacie, zajęty myślą o swym synie, którego trzy lata nie widział, a którego kochał całą duszą. Tak zamyślony, minął zapłotek, figurę, — było ciemno i cicho w koło, zdaleka bił blask z okien i dolatywał gwar wesoły od chaty Stanisława, w środku dolinki, w którą skręcał, kilka starych dębów rysowało się jeszcze niewy-

raźnie na firmamencie, w tej stronie jego chatka, tam zdążał zadumany!

Nagle stanął przerażony — jakaś postać padła u nóg jego.

— Tatuniu! tatuniu! — odezwał się głos, który odbił się w sercu starego szewca.

— Mój Antoś; — wykrzyknął on i przycisnął syna do piersi; był to bowiem istotnie Antoś, który przed godziną wrócił szczęśliwie do domu, a zastawszy tylko matkę, przez nią równie serdecznie powitany, gdy się ojca doczekać nie mogli, wyszedł, by go poszukać i tutaj go spotkał.

Nie dziwić się staremu, że przez łzy i przy zmroku dobrze nie widział; pod dębami bowiem, bardzo niedaleko, bo o dwa kroki była studnia, a przy studni tej stało coś białego, a biała postać ta była: nikt inny, tylko Marynia, — która zasłyszawszy, że Antoś ma wrócić, wybiegła i polną dróżyną wyprzedziła Grzegorza.

Dla czego właśnie pobiegła pod dęby i do studni, nie będzie się dziwił, kto wierzy trochę w przeczucia, a przeczucie to nie było znowu tak bardzo trudnem dla Maryni, jeżeli wam wyjawię tę tajemnicę, że przy owéj studni i pod temi staremi dębami Marynia i Antoś przed 3-ma już laty przysięgli sobie wierną i wieczną miłość; przeczuwała więc,— że po tak długiej niebytności, Antoś tu właśnie zechce ją spotkać i powitać — i jak widzimy, nie zawiodła się.

— I ty tu Maryniu — przyszedlszy nareszcie do siebie, przemówił Grzegórz — mój Boże, cóż ty tu dziecko robisz?

— Niedobry jesteście Grzegorzu, tak długo rozmawialiście ze mną w chacie ojca mego, a tego nie powiedzieliście mnie samej, że Antoś dzisiaj ma powrócić, wszakże wiecie, żebym się bardzo ucieszyła.

— Hej! na cóż się zdało mówić ci o tem maja droga Maryniu, że wrócił syn mój, — nie dobrze czynicie widzę moje dzieci, żeście tu już razem — a gdzież to nam myśleć o tem — pomyślno Maryniu, ty — córka bogatego gospodarza, z wielkiej famili, a ja — biedny szewc......

— I wy i wy Grzegorzu! — mnie potępiacie — przerwała na pół z płaczem dziewczyoa — nie dosyć, że rodzic tyle mi serca nadręczy tym Wickiem, którego się boję i którego nie cierpię w duszy, mój Boże! mój Boże!

Tu dziewczęę rzewnemi zapłakało łzami.

— Nie płacz, nie płacz dziecię drogie, będziemy radzić, jak Bóg natchnie.... ot! — od niego pociecha i pomoc uczciwym zamiarom człowieka — wracaj do domu Maryniu, tam goście mogą zważać, że cię nie ma — źli ludzie wypatrzyć — będziesz mieć kłopot i smutek przed czasem — ot!

Śród takiej serdecznej rozmowy, upłynęła jeszcze chwila— nareszcie Marynia odeszła, łzy fartuszkiem ocierając, a w serdecznem wzruszeniu i ciemności, nie bardzo zważała gdzie stąpić i dla tegòto trzewiczki były trochę zabłocone.

Stary Grzegórz z synem podążyli ku chacie.

Niska, ubożuchna, jednem bokiem pochylona była chata Grzegorza, dach na niej pokryty już nie słomą ale mchem i trawą, — w progu dobrze pochylić się trzeba było, chcąc wejść do środka, okienko malenkie, prawie już na ziemi, słowem całe schronienie tak ubożuchne, że za serce chwytało pomyśleć, iż tam żyje i pracuje długie lata cała rodzina w tem ciasnem gniazdeczku.

A przecież zapewniam was, warto wejść i do tego biednego schronienią ludzkiego, a może jeszcze więcej warto, jak do wspaniałego domostwa Stanisława Wiechy.

Bo oto, cudu prawie doznacie, gdy staniecie za tym poczciwym progiem.

Chatka Grzegorza wylepiona, wybielona, czysta. cicha, ciepła; — z tych ubożuchnych ścian wieje jakiś spokój, rzecby można święty, jakaś skromność, jaka poczciwa, tak do serca przemawiająca!

W chwili prawie, gdy tam wnijdziecie, ustępuje z tego domku ciasnota, ubóstwo, gubi się starość i koszlawość jego, zapominacie o tem wszystkiem, a wprost do duszy płynie uczucie, że tu zamieszkały: praca, uczciwość, porządek, spokój — słowem ciche szczęście, jakiego niejedenby pozazdrościł.— Takto cnota uświęca, zdobi i rozszerza najbiedniejszy zakątek.

Wierzajcie mi, w złocistych pałacach częstokroć daremniebyście tego wszystkiego szukali.

Cudem mówię się to dzieje, bo i cóż tam w tej chacie?

Oto stół i ławy — łoże ubogo, lecz czysto usłane, obraz Chrystusa i Matki jego, a przed nim lampka płonąca; w jednym rogu izdebki przypiera do okienka warsztat tkacki, w drugim takiż szewski, nad okienkiem dwie klateczki, obok okna na ścianie pozawieszane przeróżne narzędzia szewskie, murarskie, bednarskie, a wszystko w porządku i ładzie, kominek mały, spora skrzynia, ot i wszystko! — dodać tylko jeszcze potrzeba i tu podobny jak u Stanisława, głośno i żegotliwie tykający zegar; a był on chlubą i

wielką pociechą Grzegorza, on to bowiem kupiwszy grat stary i połamany, z niewypowiedzianem mozołem i cierpliwością dostrugał brakujące części, wynaprawiał, złożył i zmusił do tego, że od lat niepamiętnych wskazuje mu godziny.

On to oznaczył godzinę urodzin Antosia. a gdy jedynak ukochany w świat wyjść musiał, kręcił się i potakiwał Grzegorzom, tak długo, tak powoli, aż nareszcie staruszek wskazał im wytęsknioną godzinę powrotu.

Bo oto obaj, ojciec i syn weszli do chaty. Matka zadumana przy kominku, na którym płomień niepodsycany przygasał, zerwała się z ławy, była szczęśliwą, drżała od szczęścia, miała ich obu znów koło siebie i ci oba, to cały świat jej — biedaczki!

Witania i opowiadania rozpoczęły się na nowo, a choć tego widocznie unikali wszyscy troje, zeszła w końcu przecież rozmowa i na Stanisławów i na Marynię.

— Synu kochany — rzecze matka — wierz żebyśmy ci nieba przychylić chcieli, jesteś dobre, poczciwe dziecko, ale z niebem się nie wadzić, a z hardymi ludźmi się nie godzić nam ubogim — ot wybij sobie z głowy, co być nie może, na cóż się zdało krwawić serce sobie i dziewczynie coraz więcej.

Rozmowa ucichła, Antoś nieodpowiadał podparł głowę i dumał. I stary nieodzywał się długo.

Nareszcie Grzegórz jakby walczył ze sobą, niewyraźne, urywane, bez związku słowa, jakby dla siebie wymawiać począł:

— Bogactwo — hm! świat — wielki ród — toż od Boga — ot! ja szewc biedny — no dobrze! nareszcie, jakby się ocknął, przerzekł dobitnie i wyraźnie:

— No ot! grzech smucić się, gdy Bóg dał wrócić ci synu z niebezpieczeństwa wojny i różnych przygód. — Dajmy spokój tym lamentom, ja, ja szewc ubogi, powiadam ci synu — uspokój się, miej cierpliwość! od Boga wszystko — nie wszystko od razu — trzeba spróbować i serca własnego i pychy ludzkiej, ot! — kto wie, kto tam na świecie silniejszy i pewniejszy — ot!

Słowa te zdziwiły potroszę i syna i matkę, bo słyszeli je od Grzegorza w tym sposobie wypowiedziane po raz pierwszy, ale też i rzeczywiście uspokoiły i smutek rozpruszyły.

Wieczerza posilniejsza i obfitsza, jakby się ktokolwiekbądź po tej ubogiej chatce spodziewać mógł, dokonała reszty, a wieczór i część nocy zapełniły się szerokiem opowiadaniem rozlicznych przygód, których Antoś w wojsku i świecie dożył i doznał. *(Dok. nast.)*

Co słychać w świecie?

Austrya. Proces Offenheima, który nietylko Austryę ale dałą Europę! gorąco interesował, został ukończony. Offenheim oskarżony przed sądem przysięgłych w Wiedniu o nadużycia przy kolei Czerniowieckiej, został uwolniony wyrokiem tego sądu. Minister Banhans, który spowodował wytoczenie tego procesu, pojechał do Włoch na kuracyę.

Niemcy. Pod panowaniem pruskiem gniewają się bardzo przyjaciele ks. Bismarka na Ojca Św. na list Jego, napisany do biskupów niemieckich. — Ojciec Św. wydał bowiem encyklikę, czyli list, w którym pociesza biskupów prześladowanych przez rząd pruski; cieszy się z wierności ludu katolickiego i powiada wyraźnie, że wszystkie prawa wydane na szkodę Kościoła, nie mają dla katolików żadnej wagi i że należy je uważać jakgdyby nie istniały. Otóż te słowa najwyższej Głowy kościoła, rozgniewały bardzo rządowych Niemców; — wymyślają oni na Ojca Św, co mogą i zamyślają zawezwać wszystkich biskupów, by się oświadczyli, czy chcą być posłusznymi nowym prawom lub nie. — Jeśli się im opierać będą i nadal, natenczas grożą, że nie będzie rząd wypłacał pensyi, jaką dotąd pobierali. Rozumie się, że żaden z biskupów nie ulegnie bezbożnym prawom, że, jak wielu z nich dotąd znosi więzienia, tak wszyscy gotowi będą raczej ponosić wszelkiego rodzaju prześladowania, aniżeli odstąpić praw Kościoła.

Francja. Nareszcie rzeczpospolita została ustaloną we Francyi. Sejm francuski, nazywający się Zgromadzeniem Narodowem, łamał sobię przez cztery lata głowę nad tem, co robić z Francyą: czy zrobić ją królestwem i osadzić na tronie Napoleona IV, syna nieboszczyka Napoleona III, czy wreszcie nie zapraszać żadnego monarchy, lecz poprostu wybierać zpośród siebie pewnego obywatela, dać mu niejaką władzę, a pilnować oczywiście, aby, broń Boże, co złego nie zrobił — nazwać go prezydentem i ustalić republikę. Tak długo łamano głowę dla tego, że w sejmie byli i przyjaciele Burbonów i przyjaciele Orleanów i bonapartyści, czyli przyjaciele Napoleona (Bonapartego) i republikanie, a nawet przyjaciele polityczni teraźniejszego prezydenta Mac-Mahona; a wszystkie te stronnictwa prawie równoważyły się wzajemnie. Aż oto Orleaniści podali rękę zgody republikanom i przyjaźniejszymi będąc zawsze dla nich od innych monarchistów, porozumieli się z nimi i powiedzieli: nie kładnijcie bardzo twardych warunków, to będziemy głosowali za waszą repuliką". — Jakoż istotnie tak się stało. — Jeden z posłów Wallon podał projekt urządzenia takiego senatu, któryby mógł w danej chwili hamować zbyt gorące porywy Izby poselskiej, i przy głosowaniu utrzymał się. Oprócz Orleanistow głosowali za tym projektem i inni ludzie, samopas chodzący, lub przyjaciele Mac-Mahona, a to ze strachu przed Bonapartystami, bo im powiedziano, że jak prędko nie ustalicie jakiegokolwiekbądź rządu, to przyjdzie Napoleon IV, zrobi rewolucyę i wszystkich nas za kark weźmie. *T. Nied.*

Przestroga przed wędrówkami do Brazylii.

Jak rząd angielski ogłasza, kręcą się znów agenci, namawiający lud do wędrówek za morze do Brazylii. Rząd powyższy przestrzega, żeby się ludzie nie dali obałamucać, bo dawniejszym wędrowcom, którym obiecano po kawałku ziemi, nic nie dał rząd brazylijski.— Pomiędzy przybyłymi Europejczykami, wybuchły straszliwe choroby i większa część zmarniała; a więc ostrożnie, nie dać się obałamucać.

Przepowieści króla Salomona.

Miłosierdzie i prawda niech cię nie opuszczają; uwiąż je u szyi twojej, napisz je na tablicy serca twojego. (III), 3.

Ufaj Panu ze wszystkiego serca twego — a na rozumie twoim nie polegaj. (III, 5).

Nie bądź mądrym sam u siebie; ale się bój Pana a odstąp od złego. (III, 7).

Kto to czyta, niech dobrze rozważy!

Rozmaitości.

Nowy rodzaj oszustwa. Dnia 25 lutego w Mościskach podczas jarmarku, zbliżył się nieznajomy żyd do Nastki Kupiakowej z Matnowskiej Woli, która sprzedała parę wołów za 100 zlr. Nieznajomy żyd zwabił ją do szynku, gdzie w dłuższej rozmowie prosił ją, by jego imieniem przestrzegła arendarza w Matnowskiej Woli, że obiegają fałszywe banknoty po 50 i 100 zlr. które poznać można po tem, że nie są ostemplowane— powinien przeto mieć się na ostrożności. Wiadomość ta zaniepokoiła Kupiakową, wydobyła więc otrzymaną ze sprzedaży wołów setkę, ażeby się przekonać, czy jest na niej stempel. Żyd wziął banknot do ręki, z miną znawcy obejrzał go i zwrócił Kupiakowej uspakajając ją, że setka jest dobra. — Po chwili znikł ze szynku, czem wzbudził w Kupiakowej podejrzenie; wzięła znów do ręki setkę, ażeby ją oglądnąć i dopiero ujrzała, że zamiast banknota, ma blankiet wekslowy niezapisany. Podług opisu poszkodowanej, nieznajomy oszust mógł liczyć lat około 40, ma rudawą brodę, rumiane zapadnięte nieco policzki, a ubrany był w zwyczajny strój żydowski, na głowie miał czarną czapkę baranią, a na szyi szal czerwony lub zielony. Ten sam oszust w podobny zupełnie sposób wyłudził 12-go lutego na targu w Przemyślu od włościanina ze Starzawy Wasila Jachimca banknot na 50 zlr.— Sądy ścigają zuchwałego szalbierza.

— Szczególny ślub odbył się w Brukselli w kościele św. Guduli. Panna młoda piękna, elegancka, ale niestety bez rąk. Ksiądz włożył jej pierścionek na drugi palec u lewej nogi, z której trzewiczek zdjęto. — Kontrakt ślubny podpisała także nogą — Panna młoda nie jest osobą wymyśloną, ale rzeczywistą córką burmistrza z Gandawy (w Belgii) i nazywa się Wan Brook. Na świat przyszła bez rąk, ale od dzieciństwa uczyła się używać nóg, któremi pisze, szyje, haftuje. Bóg dał jej za to zachwycającą piękność, bogactwo, głos prześliczny i serce zacne. Mąż jej jest ubogim artystą, za którego wyszła z prawdziwej miłości.

— Czterdzieści lat temu, otwartą została pierwsza kolej żelazna pomiędzy Liverpoolem a Manchestrem.— Obecnie liczą 31.703 mil jeograficznych kolei w ruchu na całej ziemi. Na wszystkich linjach kolejowych, znajduje się razem 58.000 lokomotyw, 96 000 wozów osobowych, a 1.280.000 towarowych i ciężarowych. Gdyby tę całą ilość wozów ustawić w jednej linii, zajęłoby to przestrzeń około 2.100 mil.

Ludność żyjąca z kolei, liczy około 1,000.000, a z rodzinami przedstawia razem summę pięć milionów ludzi.

— W Szwecyi, która ma zaledwie 5 milionów ludności, a więc mało co więcej jak Galicya, wychodzi 256 pism treści rozmaitéj. Widać z tego, że tam ludzie czytać umieją, a więc czytają.

— Zakonnicy katoliccy, wypędzeni z Niemiec i pozbawieni dóbr swoich, znajdują schronienie u Wysokiej Porty (w Turcyi). Wielka liczba Jezuitów i Lazarystów, osiedliła się w Konstantynopolu, w Syryi, w Azyi mniejszej i zamierzają nawet budować tam klasztory. —

Zapiski gospodarkie.

Zboże na blasze kuchennej przypalone, jest dla drobiu bardzo zdrowe i wielce się przyczynia do wcześniejszego znoszenia jaj.

— Aby się groch prędko ugotował, bierze się popiołu tyle, co kurze jaje, zawiązuje w płatek, i wrzuca się w garnek, w którym się groch zaczyna gotować.

— Przeciw wzdymaniu się bydła, nie ma lepszego środka, jak nafta, której półkwaterek wlany bydłu w gębę, natychmiast przyprowadza je do zdrowia.

— Środek przeciw parchom koni lub bydłu. — Doświadczenie pouczyło, że benzyna wprawdzie zabija robaczki świerzbę wywołujące, że jednak przy tem rozdrażnia skórę w sposób niebezpieczny. Chcąc tedy jej wpływ szkodliwy złagodzić, trzeba dobrać do 10 części benzyny, 5 części mydła szarego i 84 części wody i płynem tym po dobrem zamięszaniu, chore zwierzę trzy razy dziennie nacierać — a w dwóch tygodniach parchy zginą bez uszkodzenia skóry.

Od Redakcyi.

Szanownych PP. Czytelników pism naszych: „Włościanina“ i „Zagrody“, upraszamy o nadesłanie zaległej przedpłaty.

Wszystkim zaś nowym Szan. PP. Prenumeratorom na żądanie Numera od pierwszego stycznia 1875 roku przesłać możemy.

Wydawca S. Jordan.
Redaktor odpowiedzialny *Jan Krawecki.*

W drukarni W. Korneckiego w Krakowie.